NA SZKOLNEJ ŁAWIE



Nr. 3. Styczeń 1937. Czasopismo Gimnazjów Ostrowieckich.

B. Rduch.

TREŚĆ NUMERU:

1) Poświąteczne refleksje, 2) Sen wigilijny, 3) Przysięga. 4) Goryczy są pełne moje słowa. 5) Młodość. 6) Po stracie szczęścia. 7) Lekcja gramatyki w kl. IV. 8) „Wyszkubki". 9) Muzyka Cyganów. 10) Hallo! tu kolejarze. 11) Łobzowianie. 12) Walne Zebranie. 13) Sprawozdanie Br. Pomocy. 14) Rozrywki umysłowe. 15) Ogłoszenia.

U W A G A!

Redakcja organizuje

DWA KONKURSY LITERACKIE

z nagrodami:

1. Na najlepszy wiersz. Temat dowolny. (Nagroda 5 zł.).
2. Na najlepszy felieton odzwierciedlający osobliwości życia mieszkańców miasta Ostrowca. (Nagroda 5 zł.)

Termin nadsyłania prac upływa z dniem 18 lutego 1937 r.

Podziękowanie.

Składamy serdeczne podziękowanie Dyrekcji Spółki Akcyjnej Wielkich Pieców i Zakładów Ostrowieckich za pozwolenie i pomoc przy zwiedzaniu powyższych Zakładów.

Dziękujemy również p. Rurańskiemu, który nas oprowadzał i fachowo objaśniał.

Zarząd Koła Krajoznawczego przy Gim. Męsk. w Ostrowcu.

Kącik Redakcji.

Miłe Czytelniczki i Czytelnicy zechcą nam wybaczyć i darować to, że wydajemy numer tak późno. Cóż jednak mieliśmy robić, skoro brak nam było odpowiedniego materiału do ostatniego numeru. Z prawdziwym przy tym smutkiem stwierdziliśmy, że tak mało naszych Koleżanek próbuje swoich możliwości literackich, publicystycznych. Sprawiacie nam tym, Koleżanki, naprawdę wielką przykrość! Mamy jednak nadzieję, że rychło to wszystko się zmieni i do naszej skrzynki redakcyjnej coraz częściej będą napływały Wasze prace. Piszcie do nas dużo i o wszystkim i przy każdej sposobnej chwili, a z pewnością rezultat będzie wspaniały.

W DNIU IMIENIN

1 LUTY



1937.

B. Rduch.

Pierwszemu Obywatelowi Rzeczypospolitej, Profesorowi Ignacemu Mościckiemu składamy w Dniu Imienin życzenia jak najdłuższej pracy dla dobra Państwa.

REDAKCJA.

Poświąteczne refleksje.

Święta Bożego Narodzenia — to od wieków tradycją wszystkich pokoleń przekazane największe polskie święto. Obrzędy kościelne tak silnie zespoliły się z polskimi zwyczajami, że święta te stały się narodowymi świętami Polski. Stały się również świętem Rodziny, świętem zgody i zbratania, świętem najszlachetniejszej ze wszystkich cnót — miłości. W dniu tym, jak Polska długa i szeroka, garną się do siebie członkowie rodziny, by wspólnie połamać się opłatkiem. W dzień ten milkną wszelkie spory i antogonizmy w życiu rodzinnym, by spełniły się słowa staropolskiej kolędy: „Pokój ludziom dobrej woli".

Święta Bożego Narodzenia i uroczysty dzień wigilii pozostają nam na zawsze, na całe życie najczarowniejszym wspomnieniem, które wytycza nam drogę na przyszłe dni.

I znowu, jak zawsze, po roku pracy, trudów i znoju, nadziei i zawodów, niepokoju i rozczarowań zgromadził nas ten wieczór uroczysty przy wspólnym stole wigilijnym, zgromadził nas — jednostki, zgromadził nas również jako naród w odrodzonym, własnym, mocarstwowym państwie. Naród, który doniedawna musiał walczyć w krwawym trudzie o utraconą wolność powtarzając słowa najpiękniejszej swojej kolędy: „żeśmy byli winni sami!" — dziś z dumą włodarzy na własnej ziemi.

Po raz dziewiętnasty obchodziliśmy to święto w odrodzonej Polsce, we własnym domu. A wigilia w r. 1914 ... Nie pamiętamy jej, lecz czytamy o niej, słyszymy o niej od naszych rodziców. Jakżeż często wtedy trudno było o tę kochaną przez dzieci polską choinkę.

Ojciec rodziny przychodził wtedy do domu z niebywałymi nowinami, jakie dochodziły z pola walk. Razem z matką śledzili przemarsze wojsk wyszukując na mapie, kędy teraz obracają się polskie legiony, polskie wojsko, w którego szeregach walczą o polską sprawę bliscy sercu bracia. A matka do przygotowanej paczki kładła opłatek z życzeniami i garść podarunków I szły te paczki na front, by świadczyć, że wszystkie polskie serca tych, co musieli zostać przy warsztatach pracy, są razem z tymi, co orężem i krwią zdobywają Polsce wolność i niepodległość.

Takie to były święta 1914 roku, roku polskich urodzin.

W cztery lata później słowo stało się ciałem. Po krwawych dniach pożogi wojennej zapanował pokój. Były to radosne święta. Nad polską ziemią wschodziła gwiazda pokoju, gwiazda wolności.

Dziś państwo jest rozbudowane, rośnie w siły i w znaczenie na świecie wspiera się na mocnych fundamentach: obywatelskiej świadomości i ofiarności narodu.

Jednak nie zanikły nasze odwieczne przywary i grzechy: niezgoda prywata i egoizm. Jesteśmy wciąż jeszcze zwaśnieni, skłóceni, podzieleni na wrogie obozy, a w tej walce tracimy nieraz z oczu wspólne cele i wspólne troski.

Lecz sytuacja międzynarodowa wymaga, ażeby zdać sobie sprawę z mądrości przysłowia: „Zgoda buduje, niezgoda rujnuje". Bo czasy są niezwykle ciężkie. Cały świat ogarnięty jest niepokojem, wstrząsany dreszczami febrycznymi, podminowany przez wrogie siły. Cały świat żyje ciągle pod grozą jakichś czyhających nań niebezpieczeństw, w obawie wojen czy przewrotów na podłożu nędzy i nienawiści społecznej. Nikt nie jest pewien jutra i każdy spoziera ze strachem, jak wszystkie narody sie zbroją lękając się po prostu, czy sąsiad sąsiada w zdradziecki sposób nocą nie napadnie. Bratobójcza wojna w Hiszpanii i wojna o Hiszpanię, o jej bogactwa, jaka się toczy między mocarstwami o skrajnych i zwalczających się zażarcie systemach politycznych i społecznych, może w każdej chwili przemienić się w wojnę ogólnoeuropejską.

W takich czasach tylko naród zgodny, wewnętrznie spoisty, „w dobrych radach w dobrym byciu", jak śpiewamy w kolę-

dzie, może śmiało patrzeć w przyszłość.

I gdy dzwony kościelne rozdzwoniły po polskiej ziemi wdzięczną nowinę, gdy przy stole wigilijnym starodawna, miła rozśpiewała się kolęda, słowa: „pokój ludziom dobrej woli" zagrzały i pokrzepiły wszystkie serca.

I w dniu, który jest wspomnieniem narodzin największej Miłości na ziemi, życzyliśmy sobie, by w polskich rodzinach, polskim społeczeństwie i wreszcie w całej ludzkiej społeczności zapanowała wielka zgoda i wielka miłość.

I to jest największe życzenie wszystkich ludzi „dobrej woli".

C. Kwiecień, kl. VIIa G. M.



B. Rduch

SEN WIGILIJNY.

Długi czas opanowywałam wzruszenie, jakie mną owładnęło, gdy całą potęgą wspomnienia przywołałam przed oczy obraz mojej zmarłej mateczki. Już mijała godzina od chwili, gdy położyłam sie do łóżka, a jednak jeszcze usnąć nie mogłam. Wieczór wigilijny spędziłam bardzo wesoło w towarzystwie ojca, macochy (mimo tej nazwy jest dla mnie bardzo dobrą) i starszej ode mnie siostry. Gdy dopiero znalazłam się sam na sam ze swoimi myślami, stanęły mi przed oczyma wieczory wigilijne, które spędzałam przy boku ukochanej mateczki...

Znużenie jednak przemogło... Obrazy zaczęły się zacierać.. Zdawało mi się, że pędzę w jakąś błogą, nieznaną krainę nieświadomości... Doznawałam dziwnej rozkoszy niemocy i odrętwienia...

— — — — — — — — — — — — —

... teraz podeszła do mnie matka. W lewej ręce trzymała opłatek prawą wyciągając do mnie. Z największą czcią i nabożeństwem ucałowałam jej spracowaną dłoń. Z wielką miłością patrząc mi w oczy składała życzenia:

— Jesteś szlachetną, dobrą dzieweczką i bardzo mię kochasz. Czuje to, bo wszystkie serca kochające się wzajemnie łączy jakaś cudowna nić, dzięki której odgadują one swe myśli i posiadają wiarę w potęgę szlachetnego uczucia. Tak, ja posiadam głeboką wiarę w twoją miłość ku mnie. Wiem, że nie uważasz mię za istotę tylko z materii, którą się kocha dopóty, dopóki można ją widzieć. Nasze dusze złączyły się z sobą na zawsze. Jeżeli ż której obciążająca ją powłoka opadnie... krótko... jeśli ja odejdę z tego świata... wiedz, że mimo to zawsze będę przy tobie. Każdy twój ból, będzie moim cierpieniem, a każde twoje szczęście moją radością.

Staraj się, ażebyś mogła po każdym przeżytym dniu wyciągnąć jak najwięcej wskazówek na przyszłość. W obcowaniu z ludźmi tak postępuj, aby nikogo nie zadrasnąć boleśnie nawet najmniejszym słówkiem, bo ludzie za mało na to zwracają uwagi i czasami tak ukłuja, że blizna popozostaje na całe życie...

Pamiętaj, że jesteś córką matki, Polki z krwi i kości. Myśl o matce niech ci da siłę do wytrwania w każdym nieszczęściu i niech cię prowadzi po jasnych ścieżkach ciemnych krużganków życia...

Składam ci takie życzenia, bo czuję...

— — — — — — — — — — — — —

— Ziuta, Ziutka! Już dziewiąta godzina, a ty jeszcze śpisz! Wstawaj śpiochu! — obudził mię głos mojej siostry.

Wład. Kosmos G. M.

I NAGRODA w pierwszym KONKURSIE „SZKOLNEJ ŁAWY“.

PRZYSIĘGA.

(Nowelka)

Zygmunt przyjechał na święta. Przyjechał w przeddzień wigilii. Wszystko było za tym, aby go wprawić w humor, a mimo to był obojętny, gderliwy, nie swój. Narty, które przywiózł z sobą i gruby kożuch śniegu otulający ziemię nie obchodziły go wcale. Siedział w pokoju skrupulatnie sondując stan duszy swojej i dziwił się zmianom, które zaszły w nim w ostatnich latach. Wszak przedtem nie takim był: wesoły i pełny entuzjazmu spędzał całe godziny na zabawie.

A teraz kimże jest? Egoistą, który z bezczelnym cynizmem patrzy na nieszczęścia i niedolę ludzi Jego pogarda do świata, ironia, z jąką patrzył na czyny i starania ludzkie, jakaś zimna stanowczość nadawały mu cechy bohatera byronowskiego. Uczucie szukał w sobie naderemnie. Wigilię przesiedział w zamkniętym pokoju na czytaniu książki chcąc w ten sposób izolować się od babskich krzyków i przedświątecznej bieganiny. Uroczysty wieczór wigilijny spędził w kółku rodzinnym z początku z arystokratyczną uprzejmością, a potem znudzony moralizatorskimi tyradami dziadka czekał końca. Nareszcie uwolniony siadł przy kominku i myślał, jak to dawniej spędzał święta u rodziców. Przypomniał sobie, z jaką radością przyjeżdżał do domu, jak jeździł na sankach, na łyżwach i jaki był wtedy szczęśliwy.

Zeszłego roku było jeszcze jako tako. Zapoznał się z Zosią, piękną brunetką, z oczyma jak niezapominajki i kochał się w niej nikomu nic nie mówiąc, nawet jej samej Pamięta tę chwilę, jak szli oboje z pasterki, a śnieg okrywał ziemię, przydrożne wierzby i strzechy chałup białym całunem. Cóż kiedy był taki wstydliwy, że nawet nie śmiał wypowiedzieć tego czarownego słowa „kocham“. Ileż razy miał go na ustach, a nie odważył się, bo serce biło mu jak młotem i czerwienił się po uszy. Ha, nie ma się czemu dziwić, był bowiem jeszcze smarkaczem. Terez nie będzie sobie zaprzątał głowy takimi rzeczami, bo on musi pracować nad sobą, orać jak koń i to długie jeszcze lata.

Tak zeszło mu do dziesiątej. Teraz

zaczął się ubierać, aby iść na pasterkę. Włożył mundur, palto i już był gotów. Droga do kościoła szła obok góry, niegdyś porosłej jałowcem, z którego dziś nie ma ani śladu. Noc była ciemna. Wiatr zachodni pędził kłęby chmur, z których padał mokry śnieg. W kościele było już pełno ludzi. Zygmunt stanął sobie z boku w środkowej nawie sparłszy się o stare, sczerniałe, kurzem pokryte stalle, w których nikt nie siedział, odkąd hrabia sprzedał majątek i wyjechał. Obserwował ludzi.

I cóż zobaczył? Twarze wychudłe, ziemiste, postacie zgarbione, ręce popękane od pracy, oczy patrzące z rezygnacją, jakby chciały powiedzieć: wszystko nam jedno. Patrząc na nie pytał sam siebie:

— Jestże to ten sam chłop Reymonta, ten sam lud, który co wieczór tańczył w karczmie z taką ochotą, że aż drzazgi leciały z podłogi, który wyprawiał tygodniowe wesela? Nie, albo to jest złudzeniem, albo tamto baśnią.

Wtem organista zaśpiewał na chórze „Bóg się rodzi". a lud pochwycił melodię i buchnęła z piersi jego gama dźwięków, obiła się o strop kościoła, uleciała ku wieży i poszybowała hen w przestworza. A był to śpiew cudny, przytłaczający swą potęgą, głoszący jakieś żywe, nie przemijące prawdy. I wtedy stało się z duszą Zygmunta coś dziwnego, czego on sam wytłumaczyć nie umiał. Jakiś szloch potężny wstrząsnął jego jestestwem, jakiś żal ścisnął mu gardło, a z oczu popłynęły strumienie łez.

I nagle błysnęła w jego umyśle myśl cudowna. Już wie, komu poświęci swe życie, szczęście, zdolności i wiedzę. Temu oto biednemu chłopu. On nie będzie dezerterem i nie ucieknie od ludzi, których krew płynie w jego żyłach. On będzie dla nich pracował. Czas bowiem, by zajaśniała dla nich jasna jutrzenka, zwiastunka radosnego jutra. Spojrzał na wielką czarną pasję i wyszeptał:

— Ludu, przysięgam Ci, że tobie się poświęcę, a jeśli słowa nie dotrzymam, Ty, Chryste, mię przeklnij! **Stojek E.** kl. VII b.

Goryczy są pełne moje słowa.

Goryczy są pełne moje słowa, kiedy mam mówić o ludzkiej nędzy, o ludzkim bólu, niedoli i smutku. Taka już moja dusza jest wrażliwa na te rzeczy. Sam nie wiem, dlaczego właśnie mnie wzruszają do głębi czyjeś łzy, od których niknie na czas długi moja młodzieńcza wesołość, a serce zasnuwa się jeno smutkiem bezbrzeżnym i uderza spazmem bezsilnej rozpaczy.

Ot i dziś (18. 1. 1937.), kiedy zdążałem rano do szkoły, wstrząsnął mną beznadziejnie przykry widok, który wrył mi się w oczy z pewnością na zawsze. Biegł oto tuż, tuż przede mną chłopczyna niewielki bez żadnego palta, bez żadnych rękawiczek, a i w dziurawych butach. Biegł do szkoły, bo miał ci tam jakieś książczyny pod pachą. Mroźny wiatr wykrzywił mu bólem wychudłą twarzyczkę (dokładnie widziałem). Ręce miał sine od złowrogiego zimna. Biegł pędem, ale mając długi krok nie dawałem mu się zbytnio wyprzedzić. Chłopczyna rychło się zmęczył i zwolnił nieco biegu, a ja wtedy wnet się z nim zrównałem. Zagadnąłem go, jak tylko mogłem najdelikatniej, gdzie chodzi do szkoły, gdzie mieszka, czy mu nie dolega zimno (tak!) itd. Spojrzał na mnie nieufnie, ale na wszystkie moje pytania odpowiedział głosem cichym, lękliwym... Mowił, że jest uczniem 4. klasy szkoły powszechnej № 1; że mieszka przy ulicy Piaski... Przed gimnazjum rozeszliśmy się. On zdziwiony z mojego natręctwa pobiegł dalej, aby się rozgrzać ruchem w zimnym, mroźnym powietrzu. Ja natomiast dotąd jeszcze myślę o tym spotkaniu. A w duszy mej powstają dręczące pytania, na które nie mogę znaleźć odpowiedzi:

—Dlaczego ludzie przechodzą koło tego chłopczyny i nie zwrócą na niego najmniejszej uwagi (fakt, który spostrzegłem)?

—Dlaczego Komitet Pomocy Zimowej Bezrobotnym w Ostrowcu nie zabezpieczył przed zimnem tego dziecka?

—Dlaczego nasza Bratnia Pomoc nie zna go dotychczas i nic mu jeszcze nie

pomogła?

I to bolesne, nie milknące „dlaczego" nie daje mi spokoju, a serce moje napełnia się coraz bardziej goryczą niepojętą...

ma kl. VIII g. m.

MŁODOŚĆ.

Młodość płynie... Nic nie wstrzyma
Odchodzących fal,
Czy to lato, czy to zima,
Wnet odejdą w dal.

Młodość płynie jako woda,
Jak potok się rwie!
Kochaj młodość, czasu szkoda,
Skarbem są te dnie.

Młodość śmieje się serdecznie,
Snuje marzeń nić..
O, wciąż pracuj. jakbyś wiecznie
Miał na ziemi żyć!

„Dakinka", kl. III G. Ż.

Po stracie szczęścia.

Minęły dni wesela
I szczęście poszło w świat,
A ciemna noc zaściela
Me życie niby kwiat.

Smutna, jak cmentarz, ma dola
I czarna niby kir.
Złowroga jakaś fala
Pędzi mię w życia wir.

Gdy z bólu wyje serce,
Oczom brakuje łez,
Śmierć kojąc ból dręczący
Życiu uczyni kres.

„X³" kl. VII.

Zapisz się na członka Komitetu Pomocy Dzieciom i Młodzieży!

Lekcja gramatyki w kl. IV.

Jakto w kl. IV ładnie,
Kiedy polski nam przypadnie,
Gdy wypadnie gramatyka,
Co się czwartak z nią potyka.

Nasz profesor ukochany,
Wchodzi wielce zatroskany,
Nic nikomu nie powiada,
I przy stoliku zasiada.

Raptem wszyscy z wrzaskiem, krzykiem
Zbiegają się przed stolikiem.
„Panie psorze!" — wszyscy naraz —
„Z ćwiczeniami był ambaras".

„Ja troszeczkę byłem chory!"
„Ja poszedłem po doktory!"
„Język polski" „ja zgubiłem!"
„Ja u swojej babci byłem!"

Aż tu pan profesor wstaje:
„Wyrzucę was, wy hultaje!
Dwóje wszyscy dostaniecie,
Gdy tak uczyć się będziecie".

Tak profesor wykrzykuje
I rękami wymachuje.
Lekcja idzie jak po maśle,
Tylko czasem któryś wrzaśnie:

„Zaś pieruńa, ty Pietrasie
Wiedz, że przecie siedzisz w klasie".
Trzeba teraz dać przykłady,
Trudna sprawa — nie ma rady.

„Niechaj który zastosuje
Wyraz, co dźwięk naśladuje".
Jeden tylko rękę wznosi,
I o posłuchanie prosi:

„Wiraz, co dźwięk naszladuje
W zdaniu moim sze znajduje:
Piesek ścieka au! au!"
Wymawia uczeń pomału.

— Kapitalnie!! — pan psor woła
Rozglądając się dokoła.
W klasie czwartej śmiechy, ryki,
To na temat gramatyki.

„Władek i Maciek 2 R" kl. IV G. M.

II NAGRODA w pierwszym KONKURSIE „SZKOLNEJ ŁAWY”.

„WYSZKUBKI”.

Nowela z życia ludu śląskiego.

Napisał RDUCH BERNARD.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Na dworze było siarczyście zimno. Lekkie podmuchy zimnego wiatru wstrząsały nagimi gałęziami drzew owocowych stojących samotnie w ogrodzie Wyrychloków. Niekiedy tylko odzywały się dobrze znane wszystkim górnikom gwizdy pochodzące od syreny małej lokomotywy, która przetaczała na pobliskiej kopalni wagony napełnione węglem, gotowe do odjazdu w świat. Jedne jechały od razu bocznymi torami do sąsiednich hut, drugie zaś do Gdyni, a stamtąd — kto wie — może do Szwecji, Włoch Jakby jakieś widma czarne strzelały w niebo ponad domami szyby kopalń i parę kominów. Zdawały się urągać niebu i chmurom. Patrzały dumnie z góry na ludzi jak jacyś potężni panowie i szydzili sobie z zimy.

Daleko, gdzieś na horyzoncie czerwieniło się w równych odstępach czasu niebo od żaru szlaki, wylewanej na hałdy i od ognia wielkich pieców Na ulicy jakby zamarło na chwilę, a zdawało się, że tylko tam w hutach i kopalniach wre mozolne, robocze życie. Ale było to złudzeniem. Co pół godziny sunął huczący i dzwoniąc tramwaj, najdogodniejszy środek komunikacji, a w nim śmiejący się ludzie, zadowoleni, z cygarami w ustach. Często przejeżdżały po równych, asfaltowych ulicach auta i motocykle, rzadziej jakiś pojazd konny. Nadchodzące chmury przepowiadały zawieję śnieżną.

I psy także odczywały dotkliwie zimno. Siedziały skulone w swoich budkach i straszliwie wyły.

Tylko jakoś do mieszkania Wyrychloków nie chciało przedostać się zimno. Tam nawet nie myślano o nim, tak dobrze wszystkim było.

Stara Wyrychloczka zapraszała do siebie podczas długich zimowych wieczorów gosposie i kumoszki z okolicznych domów, by jej pomogły przy skubaniu pierza. Zazwyczaj przychodziły wraz z kobietami i dzieci robiąc krzyku co niemiara. Tylko śmiać się zabraniała stara Wyrychloczka, bo pierze rozlatywało się wtedy na wszystkie strony, a przecież zawsze pierza szkoda.

Siedzieli też dlatego wszyscy cicho i, ażeby się nie śmiać, prowadzili rozmowy na tematy poważne: o duchach, powstaniach śląskich — w ogóle o wszystkim, tylko nie o czymś wesołym. A najgorzej to już było, gdy ktoś z chłopców mimo woli jakiś żart wypowiedział. Wtedy wszyscy odwracali twarze od stołu i przez zasłonięcie sobie ust rękami chcieli powstrzymać się od śmiania. Nie zawsze się to udawało i wtedy biała chmura pierza wylatywała w powietrze. Stara Wyrychloczka reagowała zwykle na to i z groźną miną, a w gruncie rzeczy śmiejąc się także powiadała:

— Zaś musioł ktoś jakieś głupstwo powiedzieć!... Też nie możecie siedzieć cicho.

Potem już rozchmurzona, wesoła, jak to zwykle robi Ślązaczka, odzywała się:

— No toż niech to bydzie ostatni roz. Śmioć się, to jest przeca zdrowo.

I przy każdym rozśmianiu się gadała to samo

A gdy już wszyscy poszli do swoich domów, widziała, co naskubali. W wannie znajdowała się zaledwie jedna trzecia część naskubanego pierza. Reszta poniewierała się na podłodze, na szafkach, w naczyniach kuchennych... To ją bynajmniej nie zrażało do tego, by nie zaprosić gosposi drugi raz. Mówiła do siebie:

— Ee, co tam, grunt, że było wesoło! Zawsze tam trochę pierza naskubali O ta kawa i chlyb z masłem, co jo im dała, o to mi tam nie idzie.

Zebrawszy porozrzucane pierze, myślała nad tym, kiedyby znowu urządzić „wyszkubki”. Na wiosnę wyda za mąż swą najstarszą córkę, Lotkę — przystojną, smukłą blondynkę, za chajera Francika

Szeligę, piekarza. Musi mieć dużo pierza. To jest za mało, co ma naskubanego, a sama nie da sobie rady. Wybrała najdogodniejszy dzień dla wszystkich, mianowicie czwartek.

Dziś właśnie był ten czwartek. Gospodynie przyprowadziły ze sobą każda ze dwóch chłopców. Dziewczynki natomiast pozostały w domu, jako spokojniejsze O chłopcach mówiły, że to „honcfoty", którzy by się w domu bili podczas ich nieobecności. — Trudno, tacy już są chłopcy.

Każda otrzymała po parę garści pierza, potem na znak, dany przez Wyrychloczke, obsiadły wszystkie wielki okrągły stół, do którego czuła Wyrychloczka pewien szacunek, „bo to — jak mówiła — podarunek od babci". W końcu i ona usiadła i zaczęła skubać. W ślad za nią poszły wszystkie baby. W izbie nastała cisza. Spokój zamącało jedynie mocne gdzieniegdzie szarpanie piórek i jakieś kłótnie między chłopcami. Co chwilę któryś z nich nie mając widocznie chusteczki pociągał haląśliwie nosem. Między nimi wodził rej dwunastoletni Gustlik Wyrychlok, który opowiadał swym kolegom, co też on dostanie na „Dzieciątko" i czy będzie „siemieniatka" podczas wieczerzy wigilijnej i choinka. Nudziło to im sie widocznie, bo domagali się od Gustlika, by im opowiedział coś o „Skrzocie", inaczej zwanym „Skarbnikiem", ponieważ był synem górnika i miał przeto możność usłyszeć o nim z opowiadań ojca.

Wymawiał się jak mógł, ale dzieci przekrzyczały go pragnąc tym bardziej, aby zaczął opowiadać. Ponadto wiedziały, że krzykiem zwrócą na siebie uwagę gospodyni Wyrychloczki, którago sam a do opowiadania zmusi. Będą wtedy siedziały cicho, a tym samym nie będą przeszkadzały w rozmowie matkom, które wolały gawędzić o ślubach swoich córek czy synów.

— Ta, to mi się podoba, jo by ją tak chciała dla mojego Hanyska...

— A ten Konder Wawlicków, to jest fajny karlus, ale...

Takie i tym podobne zdania można było słyszeć z ust matek uważających się za doświadczone w tych sprawach. Przecież i one były kiedyś młode, piękne... Ale nie pod wpływem pudru i szminki. Tego by żadna Ślązaczka nie zrobiła. Po pierwsze nie ma na to pieniędzy, po drugie tradycja nie pozwala. Bo przywiązanie do swej ziemi i do swych zwyczajów między ludem śląskim jest mocniejsze, niż u ludzi z innych dzielnic Polski. Dusza Ślązaka to dusza szczera, harda i gorąca, a kochająca nade wszystko Boga, Polskę i Śląsk. Ślązak nigdy nie pozwoli, aby mu te trzy dla niego najświętsze rzeczy odebrano lub znieważono. Dla Polaka z innych dzielnic umie być szczery, dobry i gościnny, jezeli jednak tą samą monetą mu się odpłacają.

Chłopcy nie dali za wygraną i krzyczeli jeszcze bardziej. Stara Wyrychloczka zwróciła się teraz w ich stronę i złośliwie, tak, jak ona to umiała, powiedziała:

— Przestoncie honcfoty!. Nie dowocie nom ani chwilki spokoju!...

Chłopcy nie bacząc na jej słowa zwrócili się od razu do niej z prośbą:

— Wiedzom Wyrychloczko... Niech nom Gustlik opowiado o „Skrzocie", to bydymy cicho. Ja?...

Nie namyślając się długo przemówiła Wyrychloczka tonem rozkazującym do Gustlika:

— Zaraz mi bydzies tym synkom opowiadoł o „Skrzocie"! Przeca fater ci dużo razy o niym łosprowiali.

— No, ja! — odpowiedział skromniutko Gustlik i rozpoczął wreszcie swe opowiadanie.

— A było to tak...

Ale naraz przerwał tę wielce ciekawą legendę o „Skrzocie". Zdawało mu się, że to ich pies Baryś tak żałośnie w budzie wyje. Wstał z zydelka. Ręce wzniósł do boku i kazał chłopcom milczeć. Słuchał, aby się przekonać, czy to naprawdę ich pies. Zna przecież jego wycie...

— Ja, to on... — wyszeptał.

I nie pytając się matki wybiegł na

podwórko po psa, a za nim cała zgraja chłopców.

Pies widocznie bardzo zmarzł, bo ledwo się mógł utrzymać na nogach. Gustlik głaskał go po grzbiecie i odzywał się do niego czułymi słowami:

— No Baryś! Zimno ci było... Co? Pójdziesz teraz z nami do izby. Dobra?

Pies zrozumiał jego słowa. Skomla i wesoło podskakiwał. Gustlik kazał go po chwili zabrać na rękach do domu. Józik Grabców i Erich Fójcików spełnili rozkaz.

Na progu oczekiwała już Gustlika Wyrychloczka chciała się od niego dowiedzieć, dlaczego nie zamknął za sobą drzwi i kto mu właściwie pozwolił. Potem jednak, gdy zobaczyła chłopców niosących ze sobą psa, odezwała się do niego.

— Kto ci kozoł przynieść tego psa? Chcesz, żeby jo zaś za niym wyciyrała? Ale zaroz mi go zaniyś, kaj był!

Gustlik próbował wytłumaczyć matce, dlaczego go wziął, ale pozostała ona jednak niewzruszona. Trudno — trzeba było ją usłuchać. Pies musiał wrócić do swej budy. Po drodze zaspokajał Gustlik siebie samego i myślał:

— Tak zimno jeszcze nie jest, żeby zmarzł; buda jest przeca owinięta słomom. On nie zmarznie.

Smyki wrócili markotni po tym zdarzeniu do swego kątka przy piecu. Gdy się już dobrze ulokowali, zaczął Gustlik swe opowiadanie o „Skrzocie":

— Raz miyszkał tu na Śląsku jeden górnik. I ten mioł, jak każdy, przeszło dwanoście dzieci, no i jedna baba. W rodzinie wszyscy się bardzo lubieli. Ale co? Nie miał w kopalni szczęścia, bo bardzo mało zarobioł. A że był chłop pobożny, zaczął rzykać do Ponboćka, co by mu jako pomógł I jakoś zlitowoł się nad nim „Skrzot" i pokozoł mu takie miejsce, w kierym nigdy nie braknie wynglo. Na koniec pedzioł mu jeszcze coś ważnego: „Jo ci to wszystko dom, ale musisz mi dziynnie rano położyć koło sztolni jeden placek i jajko. A na kopalni możesz pracować tylko rok". Górnik zanosił co dziyń te rzeczy, a jak przyszła wypłata, zarobiół najwięcej ze wszystkich. Wszystko się jednak kończy. Tak też skończył się i ten rok. Górnik nie opuścił kopalni, ino chcioł się dalej bogacić. Potem... wiycie, co się stało?

Józik Grabców domyślał się końca i powiedział ponuro:

— Zabiło go... Ja, ja nie trzeba robić za bozna „Skrzota"!

Ta legenda przyczyniła się do tego, że wśród chłopców nastał poważny nastrój. Dlatego też chcieli jedni słyszeć o duchach, światełkach i czarownikach, żeby im aż włosy na głowie stanęły i żeby im się to wszystko śniło po nocach. Drudzy natomiast chcieli czegoś wesołego.

Stara Wyrychloczka musiała ich znowu pogodzić, gdyż wiedziała, że zanosi się ponownie na kłótnię. I znowu zwróciła się do Gustlika tymi słowy:

—Gustlik! teraz im bydzies opowiadoł zaś o Skrzocie, ale nie takiego smutnego.

Chłopak nie dał się dwa razy prosić i znowu zaczął opowiadać:

— Roz był jeden chłop. Mioł dwoje dzieci i baba. Nazywoł się... nazywoł... aha! Gajowczyk. I bardzo się też pszoli, ale za piecem mioł straszno biyda. Robił na tej grubie i robił, ale nie mioł szczęścia. I jak tak roz siedzioł som, przyszoł do niego jakiś sztajger i powiedzioł mu tak: „Bydziecie teraz robiyli z nowym kamratem pod numerem dwadzieścia sześć". Stary Gajowczyk gafnął na koleksa i uradował się Potem się go spytoł, jak się nazywo. Ten kiwał tylko głowom. Na drugi dziyń mieli robić razem I tak się stało. Ale tamten nie przynosił ze sobą jedzenia Bez to dzielił się z nim Gajowczyk, jako że był dobrym katolikiem. A kamrat jego robił i robił za dziesięciu, aż Gajowczyk nie mógł nastarczyć folować wózki. Jak przyszoł piyrwszy, to dużo pieniędzy dostowoł. Tak działo się długo. Roz powiado kamrat do Gajowczyka: „Wiesz, kto jo jest? — Skrzot Za to, żeś był taki dobry, pomogłem ci dobrze zarobić. Być taki dalej,

a byda ci pomogoł". Potem znikł bez śladu.

Chłopcy odechnęli z ulgą, że się tak dobrze opowiadanie skończyło, bo mieli jeszcze na myśli pierwszą legendę.

— A teraz łosprawiej nom o powstaniu śląskim, co ci to wtedy fater godał! — krzyknęli wszyscy chorem, aż pierze w wannie do góry podskoczyło.

Wyrychloczka obróciła się w stronę chłopców i pogroziła im tylko nie chcąc przerywać rozmowy między starszymi.

Wtem otworzyły się nagle skrzypiące drzwi, a do pokoju wszedł stary Wyrychlok, górnik, były powstaniec śląski.

— Niech będzie pochwalony! — wyrzekł z szacunkiem.

— Na wieki wieków Amen! — odpowiedzieli wszyscy.

Następnie skierował swoje kroki w stronę sąsiedniego pokoju, by tam się umyć. Przyszedł prosto z kopalni, gdzie pracował całą szychtę w pocie czoła do godziny dziewiątej. Cały był powalany pyłem węglowym, a na rękach można było zauważyć mniejsze lub większe zadraśnięcia, w których znajdowała się skrzepła krew.

W międzyczasie, gdy stary Wyrychlok się mył, chłopcy cicho namawiali się między sobą. Chodziło im o wybranie „delegata", który by poprosił Wyrychloka, by im opowiedział o przeżyciach w trzecim powstaniu śląskim. W takich rzeczach miał zawsze pierwszeństwo Gustlik. Tak i teraz się stało.

— Do fatra mom iść sie prosić — myślał Gustlik — przeca oni sie zaroz zgodzą.

Tymczasem na mniejszym stole przygotowywała Wyrychloczka swemu mężowi wieczerzę skromną, ale pożywną.

Wreszcie przyszedł stary Wyrychlok umyty, uczesany, jakby miał pójść na swój ślub. Usiadł tam, gdzie mu żona strawę przygotowała. Po przeżegnaniu zabrał się do jedzenia. Jakoś mu dzisiaj nie smakowało, choć żona tak samo przygotowała jedzenie, jak wczoraj. Pochwalił ją przecież za to. W pewnej chwili przestał jeść i odłożył talerz na bok. Głowę oparł na rękach i patrzał przed siebie jakoś smutno, markotno...

Ale nikt nie wiedział, dlaczego akurat dziś tak się dziwnie zachowywał.

Parzał teraz litościwie na obraz Matki Boskiej Piekarskiej i zdawał się błagać ją o coś.

Wszyscy zwrócili na niego uwagę. Przez chwilę było w izbie cicho. Nawet baby skubać przestały, a słychać było tylko miarowe tykanie zegara ściennego, który jakby drwił z niego.

A stary Wyrychlok myślał:

— To tam koło zakrętu... koło sztolni... tam mi się zdawało, że „Go" widzę... To nieprawda, to na pewno był ktoś inny.

Przez chwilę jeszcze tkwił jego wzrok nieruchomo w punkcie pod obrazem św. Barbary, potem zasłonił twarz rękami i wyszeptał w tonie umierających:

— Skarbnik!

Tylko żona, która stanęła w międzyczasie za nim, usłyszała to słowo. Zrozumiała zaraz, o co chodzi.

Kobiety szeptały między sobą, że chory; chłopcy natomiast mocno zdziwieni i rozczarowani stanęli nieruchomo, mając otwarte usta. Oboje przeszli do sąsiedniego pokoju, a gdy Wyrychloczka zamknęła za sobą drzwi, rozpoczął się znów gwar w izbie.

Wyrychlok uległ po długich perswazjach żonice, która mu tłumaczyła, że to na pewno jakieś złudzenie; że skarbnika wogóle nie ma.

Troszeczkę weselszy wrócił Wyrychlok do kuchni z powrotem, usiadł sobie między chłopcami na małym stołku przy piecu.

Na dworze zrobiła się tymczasem istna zawieja śnieżna. Wichura świszczała i jęczała między konarami drzew. Czasem zadęła mocno w okna, aż ramy zaczęły trzeszczeć, a śnieg prał bezlitośnie w szyby. Nawet wycia psów nie była słychać. Zagłuszyła je straszliwa zawierucha.

W izbie zrobiło się teraz jakoś przyjemniej i zaciszniej, niż poprzednio. Stary Wyrychlok kazał sobie podać przez Gustlika fajkę osadzoną na długim wiśniowym cybuchu i od czasu do czasu splunął siarczyście przez zęby. W piecu płonął wesoło ogień oblewając czerwienią pomarszczoną twarz starego Wyrychloka. Wytworzył się odpowiedni nastrój do opowiadania

Wyrychlok nie czekając, aż go ktoś poprosi, zaczął:

— Wiecie chłopcy dobrze, że jo też broł udział w trzecim powstaniu śląskim. No i powiem wam coś o nim. Otóż pietnaście lat temu jak my — lud śląski, mimo niepowodzeń w obydwóch pierwszych powstaniach, nie bali się zorganizować i trzeciego powstania. Większość powstańców to byli chłopi tacy, ak jo, mający na wikcie własne rodziny.

— W nocy z 2. na 3. maja rozbroilismy Niemców na całym gruncie plebiscytowym bez Gliwic. Reszta powstańców, uzbrojonych w karabiny, pokazała się w tych wsiach, gdzie były załogi wojsk w niewielkiej liczbie. 10. maja 1921 roku można było uważać za dziyń, we wtorym powodzenie powstańców doszło do szczytu. W naszych rękach był cały Śląsk po prawym brzegu rzeki Odry, a nawet trocha powiatu kozielskiego po lewym brzegu Odry. Ile nos tam zginęło...

— Wszystko by było dobrze, keby się nie wdoł w ta sprawa premier angielski. Wysłoł on do nas wojsko swoje i rozdzieliło obie walczące strony. Tak się też skończyło trzecie powstanie. Między wojskami zagranicznymi było dużo Szkotów, co nie bardzo dobrze do Niemców się odnosili, a zaś Anglicy to byli z nimi dobrzy. Ci to też bardzo źle byli do nos — powstańców usposobieni. Najgorzej to było już z Włochami. Tych tośmy bez czterdzieści z tego świata śmiotli...

— Trzecie powstanie miało pod względem politycznym ogromne znaczenie. Przede wszystkim udowodniło całemu światu, że ogromna większość ludności Śląska pragnie jednak przynależeć do Polski; że lud śląski nie waha się oddać nawet swego życia dla uzyskania niepodległości i połączenia z Polską, z Macierzą; że narzucanie ludowi śląskiemu plebiscytu było wyrządzeniem mu wielkiej krzywdy i niesprawiedliwości. Trzecie powstanie — to zbiór plonów, zaszczepionych kilkadziesiąt lat temu przez Karola Miarkę, Józefa Lompę, Juliusza Ligonia, Pawła Stalmacha, ks. Norberta Bączka, ks. Bernarda Bogedain'a, ks. Jerzego Badurę i wielu innych pracowników nad obudzeniem świadomości narodowej Śląska. Bez trzeciego powstania śląskiego Polska otrzymałaby tylko powiat rybnicki i pszczyński oraz skrawek katowickiego. A tereny północne i środkowe pozostałyby z bogactwem wartości miliardów złotych przy Niemczech.

Na koniec Wyrychlok jeszcze dodał:

— Ja, ja, chłopcy, z szacunkiem myślimy o tych, którzy opuścili swe rodziny i ginęli na polu chwały za wolność waszą... Ja, ja... i wnuków.

Następnie kazał chłopcom wstać na znak uczczenia bohaterów i tonem poważnym zakończył:

— Cześć bohaterom, co szli z nami powstańcami, by swojymi kościami i krwią użyźnić posiew wolności na starej, piastowej ziemi śląskiej.

Niedługo potem skończono skubać. Była godzina dziesiąta. Wszyscy poszli do swoich domów. Rodzina Wyrychloków udała się na spoczynek.

Stary Wyrychlok długo nie mógł tej nocy jakoś zasnąć. Ciągle jeszcze miał na myśli tego „Skarbnika“ powstania...

Muzyka Cyganów.

Z Węgier i Rumunii ciągną na cały świat gromady Cyganów. Znamy ich wszyscy, gdyż często w lecie spotykamy się z nimi Słyszymy też muzykę tych ludzi i czujemy, że jest ona jakaś inna od naszej. Cyganie bowiem nie trzymają się żadnych

prawideł i oddają w swej muzyce to, co ich boli; przedstawiają w niej całą treść swojego tułaczego życia. Dlatego to muzyka ich jest smętna, przepełniona jakąś melancholia, tesknotą, bólem, rozpaczą nawet. Na słuchaczu wywiera wrażenie dziwne, ale jednak przyjemne

— — — — — — — — — — — — —

Ponury, ciemny, mroźny dzień. Gęsta mgła unosi się nad ziemią. Ucichł gwar miejski, a wszędzie zapanowała głęboka cisza.

Naraz rozległ się z podwórka głos muzyki. To Cyganie nie bacząc na mróz i mgłę przyszli zarobić na kawałek chleba. Gra ich czterech pod oknami: pierwszy przymknął powieki — zdaje się nam, że każdy dźwięk jego skrzypiec boli go; drugi — roześmiany — czuje piękno swej melodii; trzeci podniósł w górę oczy, jakby wlewał w skrzypce całą swoją prostą, zbolałą duszę; czwarty wreszcie zwiesił głowę, jak gdyby te głuche dźwięki basu targały jego sercem. Grają to, co mają w duszy. Przelewają na struny wszystkie swe bóle, troski i radości, a zawsze swą muzyką każdego rozrzewnią.

I dziś ta cygańska melodia przypomniała mi, że istnieją na świecie ludzie, którzy nie szukając dla swej muzyki form i prawideł uczynili ją przecież cudną i miłą dla ludzi. „Mons" kl. VIII. G M.

Hallo! tu kolejarze!

Lekcje skończone. Szybko nakładadamy płaszcze i śpieszymy na stację, gdzie już zdaleka majaczy w promieniach zimowego słońca olbrzymia maszyna pociągu, mająca nas za chwilę unieść, pociągnąć swą tytaniczną siłą hen — do domów.

Na stacji zgiełk, krzyki wsiadających do pociągu, bieganina tragarzy; gdzieś unoszą się żałosne szepty rozstania, jakieś płacze, lamenty i śmiechy. Co chwila do wagonu „Dla uczącej się młodzieży" przybliżają się nieznane panie (pewnie Opieka z Komitetu Rodzicielskiego) i upominają, żeby się nie wychylać, nie robić koedukacji w wagonie. Młodzież słucha z uwagą, ale swoje czyni. Nie trwa to jednak długo, bo „pan z czerwoną czapką" daje znak chorągiewką i pociąg rusza. Aż tu niespodzianka: pociąg staje.

— Co się stało? — pytają trwożnym głosem pasażerowie.

— Nie — odpowiada jedem z kolegów. Któraś z koleżanek spóźniła się trochę, a że niewiasty są w czasach dzisiejszych wielce wpływowe, więc pociąg przystanął.

Spoglądamy przez okno i rzeczywiście jedna z koleżanek „robi takie biegi", że aż ochota zbiera, żeby bić brawo. Bo przecież bieg to rekordowy: sto metrów prawie w niecałą minutę. Nareszcie nasza olimpijka wpada do przedziału z miną wielce zgorszoną, że pociąg ruszył ze stacji, gdy ona do niego jeszcze nie wsiadła. Myślałem, że wszyscy oberwiemy za to po uszach, ale szczęście, że do tego nie doszło.

Ruszamy. W przedziale „Dla uczącej się młodzieży żeńskiej" jest bardzo wesoło, a raczej bardzo głośno. I gdy czasem jakiś pasażer wejdzie do niego przez nieuwagę, to zaraz na drugiej stacji ucieka do wagonu najbardziej oddalonego od tego przedziału w nadziei, że umknie przed gwarem i hałasem, ale spotyka go rozczarowanie, bo i tam dochodzą go odgłosy „burzy".

Trochę inaczej jest w przedziale „Dla uczącej się młodzieży męskiej". Czasem panuje tu spokój, czasem jest dosyć głośno, ale najmniej z pięćdziesiąt procent ciszej niż u koleżanek. Zresztą nastrój zależy od dnia: trudno być wesołym, gdy kilku kolegów dostało „pałkę" i jutro dwie klasówki: z matematyki i polskiego. Bo jak jesteś dobrym matematykiem, to z polskiego na pewno dostaniesz dostateczny z trzema plusami, a jak p. profesor jest w humorze, to dołoży jeszcze ze dwa. Człowiek nie znający dokładnie sedna sprawy myśli, że panu profesorowi chodziło w tym wypadku o rysunek cmentarza.

Ale nie jest u nas dopuszczalnym, żeby w sobotę się smucić. Wtedy rozlegają się śmiechy, krzyki, a nawet czasem i śpiew, co jest rzadkim objawem uczącej się „dziatwy".

Wszystkich napawa radością niedziela i myśl, że dzięki niej będzie można spać do godziny dziewiątej.

„**Kolejarz**" kl. VII. b.

„Łobzowianie" w Szląsku.

(Autentyczne wesołe wspomnienia noworoczne).

Na wstępie zaznaczam, że nie będzie tu chodziło o sławny Śląsk naszego wielkiego (ponad 180 cm.) Rducha, ale małą wioskę — Szląsko, która leży w tej okolicy, co Palestyna i Babilon (też wioski), a mniej ściśle mówiąc w woj. kieleckim, a powiecie iłżeckim.

Już od dłuższego czasu wybierałem się jechać do wspomnianego Szląska na sztukę „Łobzowianie", którą wystawiało tamtejsze Koło Młodzieży Wiejskiej. Gdy jednak nadszedł oczekiwany dzień 1. stycznia, taka była na świecie „bryndza" w postaci deszczu i błota, że byłbym zrezygnował ze swojego postanowienia, gdyby nie namowa damy mego serca, Agaty — Lerci i to, że nigdy nie widziałem, jak wygląda wiejskie przedstawienie.

Otóż wspomniana Gatka wytrzasnęła parokonną bryczkę i Gaiczka, t. zn. jej (bryczki) właściciela, zajechała pod moją budę i postanowiła mię dostarczyć żywcem lub nieboszczykiem łobzowianom (mam na myśli wielkich artystów tej małej sztuczki). Aż mi ciężko przyznać, że stało się zadość „teorii":

„Jak baba chce, to chłopa zmoże". Zgodziłem się pojechać. Gdy wyjeżdżaliśmy z miejsca naszego czasowego pobytu — z Lipska (Lipsko n. Wisłą, a nie Lipsk n. Elsterą), było parę minut po osiemnastej. Dwa kilometry dzielące nas od Szląska przejechaliśmy bardzo szybko.

Przedstawienie było w szkole, co jest rzeczą zrozumiałą, gdy się wie, że organizatorem jego był nauczyciel jednoklasówki szląskiej p. Mitgiftsucher Józef. Miejsca siedzące były po 1 zł., stojące po 30 gr., a wiszące i leżące, jak to się wszędzie czyni — zignorowano nie naznaczając na nie ceny.

A teraz, kochane Czytelniczki, oraz Wy, tak sobie i owszem Czytelnicy, chcielibyście zapewne poznać wnętrze budynku teatralnego?

Proszę sobie wyobrazić salę niewiele większą, niż kl. IV w G. Ż., lub języków obcych nowożytnich w G. M. Trzecią część podobnej sali zajmowała scena masywnie zrobiona z desek z wozów, która wzniosła się około 70 cm. nad podłogą. W odległości 60 cm. od niej znajdował się pierwszy rząd krzeseł, a tuż za nim ostatni. Kurtyna i ściany boczne sceny były z pasiastych derek i zapasek.

Zajechawszy na miejsce kupiliśmy bilety i przez zapchaną widownię dostaliśmy się do przyległej izby. Był to pokoik gospodarza — reżysera. Zastaliśmy w nim jakąś sympatyczną panią, która — jak się okazało — była żoną nauczyciela z okolicznej wioski i przyjechała z nim na „Łobzowian". Małżonek jej pomagał teraz przy charakteryzacji artystów. Tu zdjęliśmy futra i gawędzili aż do rozpoczęcia przedstawienia. Dopiero o godz. dwudziestej z ogonkiem dano nam znać, że „już" się zaczęło.

Wyszliśmy i zajęli miejsca. Małżonkowie siedli razem z brzegu, obok nich moja dama i koło niej ja mając po lewicy kilka miejsc wolnych. Sala była pełna publiczności.

Gdy wyszliśmy, kurtyna już była otwarta i p. Mitgiftsucher życzył wszystkim szczęścia w r. 1937. Mówił tak pięknie, że Demostenes przy nim to niemowlę! Gdybym był poetą, to bym napisał:

„Skończył... i rogu nie trzymał,
a tu echo grzmiało:
On z nią, ona z nim, ono z nimi
Niech będą zawsze szczęśliwymi!"

Gdy skończył, zauważyłem, że jacyś

młodzieńcy zajmują miejsca, które świeciły obok mnię pustkami. Przy mnie — co za pech i jaka szkoda, że właśnie dla takich nie ma w teatrach miejsc leżących lub wiszących — siadł sobie jakiś młody nieśmiale w stu procentach „zalany“. Oby to sobie siadł i kropka, ale on się uwziął na niewinne serce i zupełnie się położył na moim lewym ramieniu i boku! Tak był zamroczony, że nie tylko widział we mnie miejsce leżące! Pokazałem go mojej towarzyszce i zaproponowałem przybicie (nie odbicie) w prawo. Wyraziła zgodę!? Odsunąłem się więc... jeszcze leżał! Odsunąłem sie dalej... jeszcze leżał... ale... naprawdę już „ani rusz“ nie mogłem się od niego odsunąć.

Rozpoczęło się przedstawienie. Trzy dziewoje w strojach krakowskich śpiewały coś o wiciu wianków dla panny młodej spełniając tę pogrzebową — według ich min — funkcję.

Treść całej sztuki tak mniej więcej wyglądała: Staruszek wdowiec ma córkę na wydaniu. Stara się o nią jeden z wieśniaków, kompan Protazego, u którego — według jego własnych słów — cała wieś siedzi w kieszeni. Pr. tazy pomaga mu do zdobycia „serca“ ukochanej grożąc staremu jej ojcu protestem weksli. Jednak w wykonaniu groźby przeszkadza mu powrót ze studiów z zagranicy jednego z wieśniaków, którego na swój koszt kształcił hrabia. Jeszcze przed wyjazdem pokochał on córkę starego wdowca ze wzajemnością. Miłość ta przetrwała przez cały czas rozłąki i teraz młodzi pobierają się. Hrabia, który stracił jedynego syna i chciał ból swój koić za granicą, wzruszony pięknym życiem Łobzowian na ich prośbę zostaje w kraju.

Gdy artyści przez dłuższy czas rąbali swoje role, przybyło jeszcze pięć osób: dwie panienki i trzech młodzieńców. Dzięki nim pozbyłem się swego utrapienia: musieli zrobić dla nich miejsce, więc wyprowadzili tego ululanego gościa. Ja szlusowałem w lewo. Koło mnie siadła jedna z przybyłych pań, za nią druga, a dalej „ci trzej“. Razem więc było nas w gościnie u miłego gospodarza 9 osób.

Muszę przyznać, że mało uwagi zwracałem na treść sztuki. Przede wszystkim patrzyłem na grę artystów i zachowanie się publiczności.

W drugim, czyli ostatnim rzędzie krzeseł siedziały starsze niewiasty, które — jak mi powiedziano — były przeważnie matkami artystów. Miejsca stojące zajmowała młodzież. W mieście stoją grupkami osobno chłopcy i osobno dziewczęta. Tutaj tak nie było. Każdy młodzieniec stał przy swojej damie. Widać młodziency nie byli przyzwyczajeni do długiego stania, bo już niektórzy wspierali się na swoich towarzyszkach. Tak wypadło, że ze sceny wychodziło okno na świat Boży. Ponieważ na sali było bardzo duszno, więc okno otworzono. Niestety jednak, o przewietrzeniu sali nie mogło być nawet mowy, gdyż otwór okienny zapełnił się zaraz dziećmi w wieku od lat 5 do 95. W sali było tak duszno, że lampka, która wisiała na granicy sceny z widownią zupełnie przygasała, czasami tylko wybuchając jaśniejszym płomieniem, gdy ktoś otworzył drzwi i wskutek tego powstał przeciąg.

Od czasu do czasu słyszało się uwagi na temat grających, z których wywnioskowałem, że patrzący chcieli dać poznać otoczeniu swoją świadomość o tym, iż artyści kłamią im swoje uczucia według z góry nakreślonych przepisów. Wszystkich jednak aż do swojego wytaczania się prześcigał w tym mój pijany sąsiad.

— U... na... zdatnia do.. kocha... nia... — mówił plączącym się jezykiem o córce starego łobzowianina zwracając się do sąsiada z lewej strony.

— Stachu, cicho! — uspokajał go sąsiad.

— Nie... lubie... jak smar... kata.. kłamie — twierdził z uporem pijanego.

Każda z mamuś, które siedziały za nami, chwaliła tylko swą pociechę. Tak nie było na pewnej akademii w Ostrowcu, gdy

jedna z pań powiedziała:

— Matka tej panienki to dopiero musi się czuć szczęśliwa mając córkę, która tak pięknie mówi!

Nawet nie przeczuwała ta pani (wnoszę to z innego jej zdania), że mateczka kol. J K. siedziała tuż przed nią. Tylko po oczach, które są zwierciadłem duszy ludzkiej, można było poznać, jaką radość sprawiły p. K. usłyszane słowa. Od niej samej jednak nie usłyszałem ani jednego słowa pochwały.

Matki dziewic szląskich nie potrafiły taić swoich uczuć, bo miały na to zbyt mało kultury. One szły według zasady: „Co w duszy to w gębie“.

Widać było, że Mitgiftsucher włożył w przedstawienie wiele pracy i starania. Sprowadził nawet około dziesięciu strojów krakowskich. Nie wszystko jednak było takie, jakie być powinno, ale nie ma się czemu dziwić, bo napotykane trudności były zbyt wielkie, aby je pokonać.

Najmilszego uczucia doznawałem, gdy na scenie brzmiał śpiew. Wyobrażałem sobie, że to nie oni śpiewają na 12 głosów, ale nasza klasa (VII. b.) na 20 głosów przed lekcją religii. Nawet jeden chłopiec tak doskonale beczał basem, że do złudzenia przypominał mi Zenka S.

Kapitalny był wygląd artystów, gdy z miną gangsterów na fotelu elektrycznym (!?) wyrzucali z siebie słowa pełne radości i miłości. Podczas jednej z takich tyrad miłosnych odwróciłem się, aby zobaczyć, jakie wywołuje ona wrażenie na młodzieży. Boże miłosierny! Cóż za zaraza padła na widownię! Ni mniej, ni więcej, tylko trzech młodych „Bartków“ obejmowało swe „Kaśki“ zapamiętale je całując! Publicznie, a nie „po ciemnych kątach“ (!), choć na pewno nie brali „przykładu“ z niemieckiej epopei ludowej, lecz szli za popędem... serca. Chcąc być dyskretnym szybko zwróciłem zwrok na scenę. Ach! Tu było teraz nie jedno, ale dwa przedstawienia. Prócz łobzowian na scenie znalazł się jakiś chłopiec ze szląskiej szkoły powszechnej. Gdy zobaczył to „mądrzejszy“ od niego rówieśnik, podbiegł, aby go zmusić do zejścia ze sceny. Po krótkiej bójce dociągnął winowajcę do prawego brzegu sceny, gdzie starszy trochę od nich chłopiec tak szarnął malca do siebie, że ten uderzył ponad jego ramieniem głową w mur. A słowo stało się ciałem... Głową muru nie przebił.

Wszląsku więc poraz pierwszy w życiu miałem możność patrzenia na trzy przedstawienia jednocześnie. Ach, to było arcykomiczne! Żałujcie Wy, szczególnie Kochane Czytelniczki, że nie miałyście okazji do oglądania czegoś podobnego!

Przedstawienie zakończyli artyści odśpiewaniem hymnu narodowego „Jeszcze Polska...“ Dlaczego takie było zakończenie, nie wiem.

Do Lipska wróciliśmy dopiero 2. stycznia (roku tego samego), po wesołej zabawie u gospodarza—reżysera.

Domański Zdzisiek kl. VII. b. G. M.

Walne Zebranie.

(Felieton).

Dnia 22. grudnia 1936 r. należy do bardzo ważnych, co więcej — do wiekopomnych dni Bratniej Pomocy. Albowiem w dniu owym odbyło się w Gimn. Męsk. Półroczne Walne Zebranie członków Br. P.

Przy tym aż „półrocznym“ i aż „walnym“ zebraniu zbladła w innych razach przecież przez uczniów doceniana świadomość otrzymania świadectw i zakończenia półrocznej nauki; zbladła nawet perspektywa bodaj że już zaczynających się ferii półrocznych.

I całkiem słusznie. Bo cóż to są cenzury? Jest to rzecz nie wiadomo ani przez kogo wynaleziona, ani po co, ani dla kogo. Komuż bo ma być z nią dobrze? Czy uczniom? Bynajmniej. Oni już od niepamiętnych czasów złożyli przeciw niefortunnemu ich wynalazcy swoje wotum nieufności i na każdym kroku podkreślają, że jeżeli to miała być dla nich taka przyjemność, to dziękują i... „obejdzie się“.

Co do świąt, to już wprawdzie rzeczpospolita uczniowska nie ma dużych zastrzeżeń, chyba że są za krótkie i ze względu na zdrowie przyszłych młodych pokoleń powinny być częstsze.

Jedynie przeciw Walnemu Zebraniu nikt nigdy nie protestuje, przeciwnie, wiadomość o nim wszyscy przyjmują z radością i założyłbym się, że gdyby codziennie od początku roku szkolnego po 3 lekcjach zwoływano Walne Zebranie, to nie tylko żaden uczeń nie oponowałby przeciw temu, ale nawet, również codziennie, każdy widziałby coraz to większą potrzebę i konieczność takowego zebrania. Kto wie, czy nawet nie pojawiłyby się głosy, aby liczbę zebrań powiększyć. W tej właśnie swej żywotności przejawia się wielkość Walnego Zebrania.

To też nawet sama natura uczciła Walne Zebranie, tak jak czci każdy wielki dzień. Bo oto w przeddzień śniło się jednemu uczniowi, że widział na niebie ogon ognistej komety, tudzież ze wschodu i zachodu łuny pożarów. Gdy mi się z tego zwierzył nazajutrz, wytłumaczyłem mu, dlaczego się tak działo. Zrozumiał, że mam rację.

W tym więc sławetnym dniu w auli gimnazjum zebrały się nieprzeliczone tłumy braci uczniowskiej różnych formacji byli tam sodalisi, harcerze i strażacy, byli sklepikarze i śniadaniowcy, byli różnego rodzaju prezesi prawdziwi i honorowi, wreszcie — zwykli uczniowie. Słowem, ludu było „jak kołem nabił". Z tego też pewnie powodu prawie cała kl. 8 i część 7 stała na korytarzu. W całej sali panował nastrój bardzo poważny i podniosły; o powadze chwili mówiła stara (teraz już nie używana) katedra jako podpora dla prezesa, mówiły rzędy krzeseł, ściany pięknie przystrojone, słowem wszystko — za wyjątkiem uczniów. To też uczniowie pewnie oceniając wyższość od siebie tych ścian, krzeseł i obrazów z podziwem i jedynie tylko na nie patrzyli.

Tymczasem rozpoczęło się zebranie. Na katedrę wszedł prezes i oświadczył, że rozpoczyna się godzina sądu nad poczynaniami wszystkich organizacyj i sekcyj w I półroczu. Zaraz po tym podziękował wszystkim pracowitym i równocześnie zaczął gromić swoim słabym głosem tych, co nic nie robili wzywając ich do pokuty. Przerażenie spadło jak piorun na salę, która w lot spostrzegła niebezpieczeństwo, ale na szczęście panujący ogólnie szmer zagłuszył nieco tak straszne słowa prezesa (nie należy utożsamiać słowa „sala" z uczniami). Z kolei zdały swój rachunek z tego, co zdziałały poszczególne sekcje i organizacje. Tutaj dał się zauważyć bardzo dodatni objaw: oto nie było sekcji, ani organizacji, która by w swoim sprawozdaniu nie zaznaczyła, że prace jej są znacznie lepsze i wydatniejsze, niż w roku ubiegłym. Ponieważ w zeszłym i zaprzeszłym roku było to samo więc — znak niechybny — koniunktura stale się nakręca. Podczas gdy świat cały skarży się w latach kryzysu, że jest coraz gorzej, u nas stale coraz lepiej. Wszyscy wsłuchali tych sprawozdań cierpliwie do końca. Potem prezes owtorzył ogólną dyskusję. Tutaj dopiero okazało sie z jak wielką uwagą słuchali uczniowie tych sprawozdań. Nikt bowiem początkowo głosu nie zabierał. Było to niechybnym znakiem, że z podziwu dla tych sprawozdań i słów prezesa wszyscy oniemieli i nikt nie mógł głosu wydobyć ze siebie. Wkrótce jednak minęło to chwilowe milczenie, a zarazem lekkie zakłopotanie prezesa (biedak myślał pewnie sobie: „co ja z tą śpiącą masą teraz pocznę?"). Oto ktoś wyciągnął do nieba swoje rękę na znak, że pragnie mówić. Ciężko odetchnął prezes, lżej reszta kolegów (ci to chyba ze znużenia), bo głosu takiego oczekiwano podobnie, jak umierająca z pragnienia gdzieś na pustyni karawana oczekuje deszczu. Jeszcze ktoś zabrał głos, a wszystkie te głosy mozna było policzyć na palcach jednej nogi i na tym zebranie zakończyło się.

Osobiście tłumaczyłem sobie tak rzadką dyskusję tym, że koledzy będąc zwykle bardzo rozmowni pragnęli właśnie milczeniem uczcić tak wielką rzecz, jaką jest Walne Zebranie, byli jednak tacy, szczególnie z Zarządu, którzy podejrzewali ich o brak zainteresowania.

„Ignac" kl. VII. G. M.

Dnia 18. grudnia 1936 r. odbyło się w świetlicy Gimnazjum Męskiego Półroczne Walne Zebranie Bratniej Pomocy. Zebranie rozpoczął prezes Br. Pomocy, kol. Wosiek zagajeniem, w którym poruszył wiele spraw i zagadnień związanych z działalnością Br. Pomocy. Szczególny nacisk położył kol. prezes na ciągły brak zainteresowania wśród społeczeństwa uczniowskiego działalnością Br. Pomocy. Kończąc zagajenie zachęcał kol prezes wszystkich członków, aby brali żywy udział w pracach podejmowanych przez Zarząd, czym przyczyniliby się do sprawniejszego funkcjonowania całej organizacji.

Po zagajeniu odczytane zostały kolejno sprawozdania: 1) Zarządu Br. Pom., 2) Kasowe Br. Pom., 3) Sekcyj Br. Pom., 4) Organizacyj, przy czym kol. prezes udzielał wyjaśnień uczestnikom zebrania zapytującym o pewne kwestie związane z danym sprawozdaniem.

Po odczytaniu sprawozdań otworzył kol. prezes dyskusję wysuwając temat, czy utrzymać nadal istniejący dotychczas system pożyczek i zapomóg, czy też przeznaczać fundusze na pewne przedmioty i te oddawać do użytku uczniów. W dyskusji zabierało głos wielu kolegów, którzy stanęli przeważnie na gruncie obecnie panującego systemu pożyczek i zapomòg.

Ostatnim punktem zebrania były wolne wnioski. Wysunięto cały szereg spraw, które mają być w poszczególnych klasach poddane dyskusji i głosowaniu.

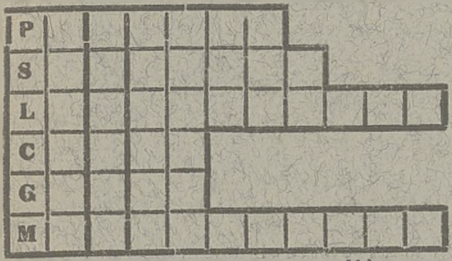
Walne Zebranie zobrazowało całkowicie całokształt prac „Br. Pomocy" oraz wykazało, że praca ta była w pierwszym półroczu dosyć intensywna i szła w dobrym kierunku.

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

1. Zagadka muzyczna.

uł. W. T.

Za rozwiązanie Redakcja przeznacza 10 punktów.



Sposób rozwiązania: W puste kratki należy wpisać litery tak, aby powstało 6 nazwisk sławnych kompozytorów obcych, a rząd 3. czytany z góry na dół dał nazwisko wielkiego kompozytora polskiego XIX wieku.

2. Logogryf.

uł. D. E.

Za rozwiązanie 15 punktów.

1	A	A	A		A	A	A	A
2	A	A	A		A	A	A	A
3	D	D	E		E	E	E	E
4	E	F	G		H	I	I	I
5	K	K	K		K	K	K	K
6	K	L	L		L	L	M	M
7	N	N	N		N	N	O	O
8	O	O	P		P	R	R	R
9	R	R	R		R	R	S	S
10	T	T	T		T	T	U	Z

Znaczenie wyrazów:

1. Zaprzeczenie, 2. Pałac królów maurytańskich, 3. Ból głowy, 4. Pękata butelka, 5. Związek chemiczny azotu z wodorem, 6. Rzewny utwór muzyczny, 7. Okólnik, 8. Odpowiedź na zaczepkę, 9. Starożytna Grecja, 10. Nożyce ogrodnicze.

Rząd środkowy czytany z góry na dół da nam nazwę ludowego tańca neapolitańskiego.

Rozwiązania wykonane czysto i starannie należy nadsyłać do 15.2. 1937.

Rozwiązanie konikówki z n-ru 2., którą ułożył B. R.

Stefan Żeromski: „Ludzie bezdomni", „Syzyfowe prace", „Wierna rzeka", „Wiatr od morza".

Dotychczasowy stan posiadania punktów:

Kol. Kol.: Borkowski J., Lis J., Wyczyński C. po 15 punktów. Bartkiewicz J., Bielecki J., Fijalówna E., Kamiński J,, Kański W., Kasprzycki J.. Koseła M., Kuczyński J., Lebelt B., Łapa S., Mucha S., Olejnik B., Popek C., Rduch B., Wolańczyk K., Wronianka Z. po 10 punktów. Piliszkówna J. 5 punktów.

U W A G A :

Kto z końcem roku szkolnego będzie miał największą ilość punktów, otrzyma nagrodę, której jakość określi później Redakcja.

OPIEKUNOWIE PISMA: Krasnowolska H. i Krzyk S.

PRZEWODNICZĄCY KOMITETU REDAKCYJNEGO: Makarewiczówna W., Pękalski J.

KOMITET REDAKCYJNY: Bystroniówna Z., Domański Z., Rduch B.

ADMINISTRACJA: Czerwonko Z., Lipińska A.

REDAKTOR NACZELNY: P ę k a l s k i J.

WYDAWCA: Bratnia Pomoc Uczniów Państw. Gimnazjum Męskiego w Ostrowcu.

Numer zawiera 16 stron. Cena numeru 20 groszy.

CENY OGŁOSZEŃ: 1strona — 20 zł., 1/2 strony — 10 zł., 1/4 — 5 zł., 1/8 — 3 zł., 1/16 — 2 zł.

„SSTUKA"—Ostrowiec, Denkowska 28.